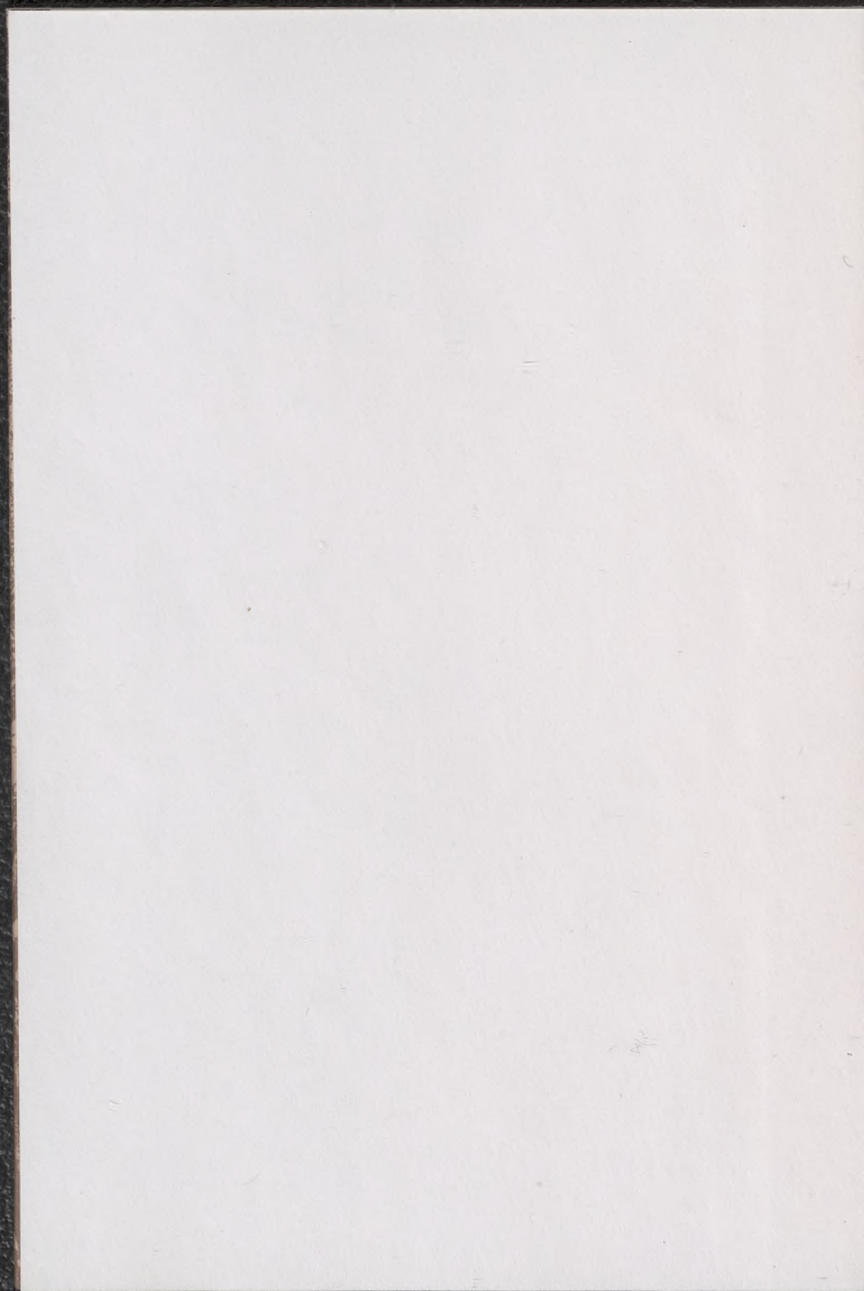


1569389









L 1569.388

10

Anioł Miłosierdzia

Obrazek z życia Polsko-Amerykańskiego.

napisała

HELENA STAŚ.....

(Przedruk bez upoważnienia autorki wzbroniony.)



CHICAGO, ILL.
Drukiem i nakładem W. Dyniewicza.
1907.



Anioł Miłosierdzia

Obrazek z życia Polsko-Amerykańskiego.

napisała

HELENA STAŚ.....

(Przedruk bez upoważnienia autorki wzbroniony.)



CHICAGO, ILL.
Drukiem i nakładem W. Dyniewicza.
1907.

Było to po południu w sobotę. Marcin Trąbaczak ustroił się w sztywną koszulę, stojący kołnierzyk, odświętne krótkie ubranie i ano wyglądał kiejby pan dziedzic z Olszowej Wólki. A chciał też Marcin wyglądać z pańska, by pokazać jak to Ameryka ludzi rychtuje.

Dzisiaj przyjedzie ze starego kraju jego kobieta, jego ukochana Jaga i to dzieciątko Marysia, które w kołysec jeszcze zostawił.

Dwa roku się nie widzieli, mustrował się więc Marcin na wszystkie strony jakby to najlepiej się pokazać. Rzucił raz jeszcze dumne spojrzenie w lustro, uśmiechnął się i szepnął: "Pozna mnie, czy nie?" Potem przedstawił sobie jak on to z pańska będzie wyglądał przy niej mizerocie w chuścinie i fartuchu. Naraz myśl jakaś go uderzyła, bo otworzył raz jeszcze kuferek, przeliczył odłożone pieniądze i odezwał się półgłosem: "Zbędnie jeszcze kilka dolarów na fajną suknię i kape-



1931 K 1110/477
T 1569 389

lusz dla Jagi; toż młoda jeszcze jest kobiecina, niech więc też użyje Ameryki. Z temi słowy opuścił Marcin swoją stancyjkę, a idąc na stacyę kolejową, przez całą drogę układał plany na przyszłość. Marcin miał dobrą pracę i mógł liczyć na stałą. Takimi myślami zajęty, ani się spostrzegł, kiedy przybył na miejsce.

Pociąg, który wiozł te dwa jego kochania miał przyjść za pół godziny. Rwała się do nich dusza Marcina, a rwała się w niepomiernej tęsknocie przez dwa lata, a co sobie naodmawiał, żeby je tam utrzymać i tu najprędzej sprowadzić i teraz to za pół godziny je ujrzy—żonę i córuchnę swoją, której prawie, że nie zna.

Dygotało mu serce, zapomniał o sztywnej koszuli, o odświętnym stroju, myślał tylko o tem wielkiem, gorącym swoim kochaniu—o tem — że był Marcinem. Chwilami, aż go zamroczyło, bo już mu się zdawało, że ona, ta mała kobietka w chuście i fartuchu chwyta go za szyję i szepce przez łzy: Marcinie, Marcinie.

Cała amerykańska hardość gdzieś znikła i gdy pociąg nadszedł, Marcin upatrywał Jagi, pokorny jak baranek.

O Jezu! dyć idzie,—z dziewczuszką na jednej ręce, a z tobołkiem w dru-

giej. Marcinem, aż śmignęło, zapomniał jako sobie postanowił, co się zachowa po amerykańsku i ściskaniem baby nie będzie robił ze siebie widowiska, zapomniał o całym Bożym świecie, a objąwszy obiema rękami i kobietę i dziecko, ścisnął po polsku co się jeno zmieściło.

Przez długą chwilę żadne nie mogło słowa wymówić. Pierwsza dziewczynka widocznie nauczona przez matkę, zawołała "Tata! Tata!" W Marcinie jeszcze bardziej wezbrało; pierwszy to raz w życiu usłyszał dane mu miano "taty". Odebrał też dziewczynkę matce, a przyciskając do serca mówił: "Tak, Maryś, to twój tata. Czyż tęskniła do taty?" "I Marysia i mama", odpowiedziało dziecąc.

Marcin był w siódmym niebie. Tyle szczęścia, więcej, aniżeli sobie obiecywał, boć tego sobie nie przedstawiał, aby jego córka mogła już z nim rozmawiać. I ów Marcin, który przed godziną uśmiechał się dumnie, jak on to swoim amerykańskim ubraniem, kobiecie zaimponuje, teraz zapominał o sobie, a myśląc tylko o tem dziecku na ręku i tej mizernej kobiecie obok niego, czuł się z nich i dumny jak król świata. Coby nie miał być, "jego szczę-

ście, jego kochanie, jego staranie było tu przy nim i co mu więcej trza było?

Marcin z Jagą mało ze sobą przez drogę rozmawiali, gdyż szczebiot dziecka zwracał na siebie całą ich uwagę.

Przywiózł Marcin te swoje dwa kochania na swoją starą kwaterę, bo jako chciał, aby kobieta sobie sama wszystko do domu wybierała, nie kupował naprzód żadnej domowizny.

W tydzień pokupili co trzeba było i już byli na swoim.

Mieli trzy stancyjki, mebelki, aż się świeciły, firanki na oknach, kanapę co chuśtała, obrazy Pana Jezusa i Matki Boskiej w złotych ramach obrus na stole, a jakie naczynia w kuchni? Radowało się też serce Jagi, rozpromieniona patrzyła na wszystko i raz po raz powtarzała: "Ani okumonka w Olszowej Wólce tak nie ma."

Zyli sobie Trąbczakowie zgodnie i spokojnie, jedynie tęsknica za Olszową Wólką psuła im szczęście i spokój, ciągnąc ich okrutną swą mocą tam nazad do tej wsi rodzinnej, gdzie wszystko, choć nie tak piękne, ale takie wymowne, takie jakieś swoje.

Bywało—wieczorami gdy Marcin przyszedłszy do domu, wyciągnie spracowane ciało na kanapie, nałoży fajeczkę, a pykając zacznie opowiadać

o tych olchach nad strumieniem, tam na lewo wsi, o tej starej gruszcze, co na pańskim stoi, o tych białych brzożach przy cmentarzu, o tym krzyżu przy drodze, gdzie rok rocznie wieczorami śpiewali; bywało, że wspomnienia te, wyciskały obojgom łzy z oczu. Jaga czasami dla dodania humoru wtrącała: "Ale tam byś nie leżał na kanapie." Marcin przeniesion całą duszą do wsi rodzinnej odpowiadał: "Ja bym tam wolał leżeć na łące i choć raz jeszcze jeden, stąpnąć bosą nogą po tej naszej ziemi. Choć raz jeden jedyny jeszcze, w życiu i ujrzeć te drzewa, te zboża, a choćby i piaski, boć to wszystko nasze—polskie."

Czasami markotno im się robiło, że dziewczeczka ich, tych pól, ani lasów, oglądać nie będzie. Opowiadali jej też o każdym drzewie, o każdej chatce, o każdej ścieżynie w ich wsi. Dziecię przejęte tęsknicą ojcowską, zasłuchane w te głosy przeszłości, rosło jakies rozmarzone, pragnące czegoś, co określić nie da.

Bywało, że wspominali i o powrocie do kraju, ale iść pracować pod paną za byle co, to jakoś po amerykańskiej swobodzie się nie chciało, osiąść na swoim nie było za co. Tak sobie rozważając, postanowili przyjąć kilku

“bordingerów”, aby prędzej dorobić się grosza i wrócić na swoje.

Jaga nie była silną kobietą, a pracując teraz podwójnie, zaczęła na dobre opadać na ^{siłach}siłach.

Trzeciej stówki dołożyła spełna, chowając w zawiniątku na dno męzowskiego kuferka; gdy ją jakaś dziwna niemoc ogarnęła, smutek i tęsknota za Olszową Wólką większa, aniżeli kiedykolwiek.

Kiejby żywy obraz, stanęła jej wieś rodzinna przed oczyma, ten krzyż przy drodze, na którym dziewczyną będąc, wianuszki wieszała.

Oj Boże miły! toż ona znowu jest przy nim, trzyma go się obu rękami i skarży Jezusowi, jak jej było tęskno bez niego tam za morzem, na obcej ziemi.

A Jezus wyciąga ramiona i mówi: “I ja tęskniłem za tobą, ostań się już teraz ze mną na zawsze.” Ostanę się z tobą Jezusie, ostane, szeptały blade usta Jagi; poczem bezwładna upadła na podłogę. Tak ją znaleźli Marcin i Marysia, którzy przyszli na południowy posiłek.

Położyli ją na łóżko, przywołali lekarza, lecz ten orzekł, że pomódz jej nic nie może. Jaga cierpiała oddawna

na serce i atak obecny, musiał zakończyć się śmiercią.

Umarła Jaga; pozostawiając sierotę Marysię rozpoczynającą dziewiąty rok życia i niepokieszonego w smutku Marcina.

Na oko niby nie desperował, ale wewnątrz gryzło go coś okrutnie. Nie mógł się sam poznać, bo i jakże mógł, kiej lepszej jego połowy brakowało.

Nieboszczka, była ubezpieczona w Związku Narodowym na \$600, dołożył je więc Marcin do owych trzystu i postanowił powrócić z Marysią do kraju. Żyła jeszcze nieboszczki żony matka, tak tedy myślał Marcin kupić kawał gruntu i wziąć starą do siebie, by mu córkę wychowała.

Wyprzedawał więc Marcin sprzęty i szykował, się na drogę. "Bordinki" się już byli wynieśli, oprócz jednego, który się jeszcze kręcił, z dnia na dzień odkładając opuszczenie domu. Miał go jakoś Marcin na oku i podpatrzył gdy ten opuszczał izbę, w której stał kufer z pieniędzmi. Tchło Marcina—zajrzał do kuferka i przekonał się, że pieniędzy nie było, wpadł natychmiast do izby owego bordingera, pochwycił go oburącz i zażądał zwrotu pieniędzy. Bordinger, silny chłop, rzucił na ziemię Marcina, wyjął z kie-

szeni nóż, zadał mu w głowę kilka ran, poczem spiesznie opuścił dom.

Gdy Marysia, która właśnie wracała ze szkoły wbiegła do domu, zastała ojca bezprzytomnego, tarzającego się we krwi.

Nie odzyskując ani na chwilę przytomności, Marcin na drugi dzień zakończył życie. Szczęściem tego fatalnego dnia rano, Marcin był u spowiedzi i komunii świętej, gdyż za trzy dni mieli już wyruszać w drogę.

Marysia, pieczęta, ukochanie, pociecha i nadzieja ojca i matki, została naraz sama na świecie ogołociona z wszelkiego dobra.

Marcin również był ubezpieczony na życie, wyprawiono mu więc suty bogrzeb, zakropiono żal za niebożczykiem, zajęto się na niejaki czas sierotą, a potem z 50 dolarami oddano ją do amerykańskiego przytułku dzieci, pod dozorem Sióstr zakonnych.

Łamała się duszyczka Marysi bólem, tęsknotą i pragnieniem jakimś nieznanem, nie ujętem.

Odczuwała ona bóle, śmierć Matki, lecz nie tak jak ojca. Po śmierci matki, ojciec codzien jej mówił o innym świecie, do którego pojadą, tam gdzie ona się rodziła, tam, dokąd oni tak tęsknili. Och!—tak, tam,—i ona

tam chciała być. O tem nieznanym polskim kraju, duszyczka jej roła na jawie, marzyła we śnie.

To rozkoszne, ponętne marzenie przerwała okrutna śmierć ojca i teraz ono polskie dziecię, w otoczeniu amerykańskim nie słyszy słowa polskiego, nie słyszy tych tęsknych wspomnień przeszłości, które tak cudowny urok na nią wywierały.

Uczyła się Marysia jedynie po angielsku, pacierz tylko rano i na wieczór odmawiając tak, jak ją matka nauczyła. Znała też kilka polskich pieśni i czasami gdy jej coś ciężko było na serduszku, szeptała je sobie.

Często śniła, że jedzie z ojcem wielkim okrętem, na wielkiej wodzie, że widzi zdala ziemię i pyta: "Tatusiu, czy to nasza Polska?" Wzruszenie ją takie opanowywało, że zwykle budziła się i długi czas nie mogła sobie przypomnieć rzeczywistości.

Powoli przyzwyczaiła się do obecnego otoczenia, a gdy nadszedł czas pierwszej spowiedzi i komunii, Marysia z jakimś szczególnem namaszczeniem i radością przystąpiła do tych świętych sakramentów. Teraz niebo było otwarte dla jej duszy, a dusza otwarta dla nieba, w pokoju i zachwycie niewysłowionym utonąła.

A i w zewnętrznem jej życiu zaszła zmiana. Obok domu gdzie się wychowała stał szpital również pod opieką Sióstr zakonnych. Zdarzało się czasami, że przywieziono chorego Polaka, który nie umiał po angielsku, przywoływano wówczas Marysię za tłumacza; albo też w razie gdy polski chory umierał, a nie było nikogo z krewnych przy nim, przywoływano Marysię, która swem dziecinnem głosem odmawiała: "Pod Twoją obronę", albo "Kto się w opiekę".

Marysia była smukłą, piękną dziewczyną, a tęskne jakieś melancholijne spojrzenie robiło ją podobną do anioła. Zwykle też gdy umierający usłyszał polski głos, otwierał oczy, a ujrawszy ją przed sobą, miał złudzenia, że widzi anioła proszącego do nieba. Z urywanych słów umierającego Marysia domyśliła się owych złudzeń.

Przeświadczenie, że przyczynia się ona do spokoju, z jakim zwykle chorzy w jej obecności umierali, napełniało ją nieznaną jej przedtem radością i szczęściem. Roje nowych marzeń opanowały jej duszę. Gdy doszła lat siedemnastu, prosiła sióstr przełożonych, aby pozwoliły jej przysposobić się na dozorczynię chorych.

Siostry chętnie zgodziły się na to i praktykę swoją zaczęła w tym szpitalu. Upłynęło dwa lata, Marysia była już po egzaminie, mogła była opuścić szpital i zarabiać dobre pieniądze, pielęgnując chorych po domach prywatnych, nie ciągnęło ją to jednak, gdyż w szpitalu choć nie wiele zarabiała, ale mogła tyle dobra świadczyć dla polskich chorych.

Pewnej nocy śniło się Marysi o rodzicach: Matkę widziała tak przezroczystą jak świętą jaką, po ojcu spływała krew. Niesli oboje krzyż z wizerunkiem Jezusa. Stanęli obok niej, wzięli ją za ręce i ojciec mówił: "Maryś, godzina sprawiedliwości Pańskiej nadeszła; pamiętaj córko te słowa: "I odpuść nam nasze winy jako i my odpuszczamy naszym winowajcom". Potem pobłogosławili ją, trzymanym krzyżem i znikli. W tej samej chwili Marysia się obudziła i już zasnąć nie mogła, przejęta tem dziwnem snem.

Gwałtowne dzwonięcie nocnego dzwonka, zmusiło ją do szybkiego opuszczenia łóżka i spieszenia na pomoc chorej osobie.

Zdarzało się, że i w nocy w nadzwyczajnych wypadkach wołano ją do polskich chorych.

Tą razą przywieziono Polaka, którego najechała kara. Obojczyk i tył głowy miał straszliwie poszarpane. Doktor opatrzył go już i zawyrokował, że zostaje mu zaledwie kilka godzin życia.

Uklęła Marysia przy jego łożu i zaczęła po polsku "Ojczy nasz". Na dźwięk tego głosu chory drgnął na całym ciele, utkwiał błędny wzrok w Marysi i z mocą wyszeptał: "Kto ty jesteś?" "Jestem Marysia, — odpowiedziało dziewczę.

Chory zrobił nadzwyczajny wysiłek, aby szepnąć raz jeszcze. "A czyjaś ty Marysia?" "Rodzicom było Trąbczak", odpowiedziała.

Nastąpiła chwila milczenia, poczem Marysia modliła się głośno, a choremu jakoś twarz się zaczęła rozjaśniać, zdawało się, że życie w niego wstępuje. Naraz znów się odezwał: "Czy ty wiesz dziewczyno, za kogo się modlisz?"

"Za cierpiącego człowieka, by mu pomódz do nieba—odpowiedziała zapytana.

"Za mordercę twego ojca, jęknął chory."

Podniosła Marysia zdziwione oczy na niego, a on ciągnął dalej: — Jam

zabrał twój majątek dziewczyno i dla pieniędzy zamordowałem twego ojca.

Marysia wiedziała, że ojciec był przez kogoś pokaleczony, ale przez kogo to było dla niej i dla innych tajemnicą. Przypominała też sobie niejasno, że ludzie po śmierci ojca szukali w ich domu pieniędzy i dziwnie coś gadali, ale nie było komu sumiennie się tem zająć.

Słyszając wyznanie chorego przypuszczała prawdę w jego słowach, lecz niechcąc dodawać goryczy do ostanich chwil jego życia i pomna na sen dzisiejszej nocy, którego znaczenie zaczęła teraz pojmować, mówiła łamanym polskim językiem: "Jeżeli jesteście mordercą mojego ojca, to tem więcej powinnam modlić się za was, bo tem więcej potrzebujecie mojej modlitwy i przebaczenia."

Pochwycił chory rękę Marysi i nie puszczając jej z swoich mówił: "Skrzywdziłem cię dziewczyno, lecz nie zaznałem szczęścia. Wyjechałem do Brazylii. Pochowałem dwie żony. Potomstwa żadna mi nie zostawiła i teraz samotny, znękany postanowiłem wrócić by odnaleźć córkę Marcina. Ze Marcin nie żyje, o tem wiedziałem, ale co się stało z jego dzieckiem, to mnie żaden słuch nie doszedł. Wczoraj pó-

żno wieczorem przyjechałem i wskakując na karę, upadłem na bruk i już nie wiem, czy konie, czy kara, czy co, przeszło przez moją głowę.

Jeżeli chcesz być aniołem miłosierdzia, a taką mi się wydajesz, to przebacz mi dziewczyno wyrządzoną ci krzywdę i na rany Chrystusa cię błagam sprowadź mi księdza, abym mógł się z Bogiem pojednać.”

Chętnie Marysia uczyniła zadość żądaniu chorego. Telefonowała do polskiego księdza, ale, że to było dosyć daleko, a kary w nocy nie wszędzie chodziły, szósta godzina więc już była, gdy ksiądz przyjechał.

Chory natychmiast się wyspowiadał, przyjął sakramenta święte, pieniądze Marysi razem ze swoim tysiącem złożonym na ręce księdza, czyniąc ją tegoż majątku właścicielką.

Dzień już się robił, słońce zajrzało w okno, które było naprzeciw chorego, a promieniami swemi oświetlając twarz jego spokojną i pogodną, bo dusza teraz już była w zgodzie z ludźmi i Bogiem. Westchnął jeszcze kilka razy, spojrzął na Marysię i choć nieprzytomny szepnął: “anioł miłosierdzia”, poczem dusza jego poszła spotkać Marcina.

Ostatnie wypadki podziały bardzo silnie na wrażliwą już i tak naturę Marysi. Oddała się jeszcze więcej miłości bliźniego i Boga.

Gdy się dowiedziała o majątku jaki jej nieboszczyk zostawił, nie namyślała się ani chwili, co ma z nim uczynić, oddała go na szpital, gdzie morderca życie zakończył, sama zaś postanowiła dla spokoju tych dusz w niebie, poświęcić swe życie Bogu.

Widząc z doświadczenia ile dobra może zdziałać przy polskich chorych, postanowiła zostać siostrą miłosierdzia.

Pojechała najpierw na rok do Detroit, do sióstr Felicjanek, aby tam wyszkałcić się trochę w polskim, a potem do Kanady, gdzie złożyła śluby zakonne.

Obecnie pracuje jako Siostra miłosierdzia przy jednym z szpitali w New Yorku, a dla wielkiej miłości jaką otacza chorych nazywają ją powszechnie: "Aniołem miłosierdzia".

Helena Staś.....



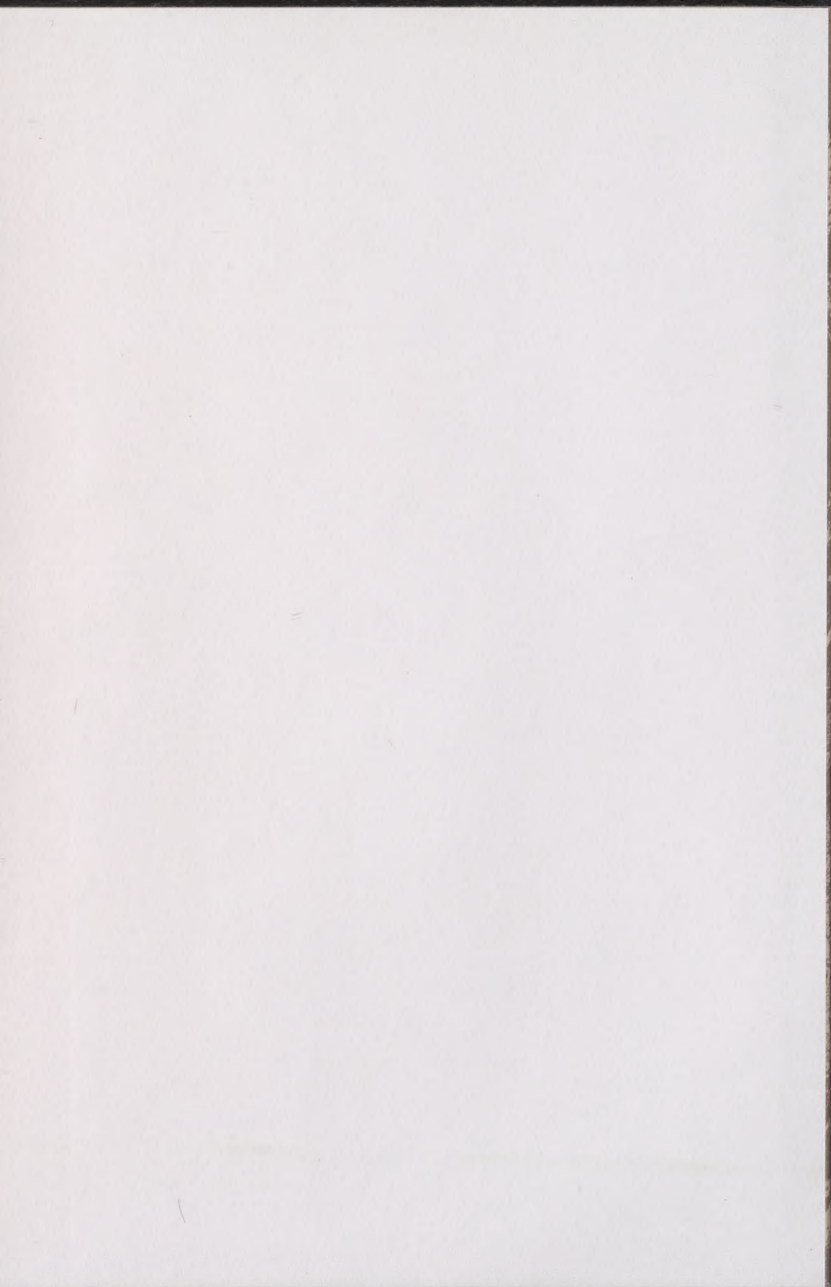
Odkwaszone

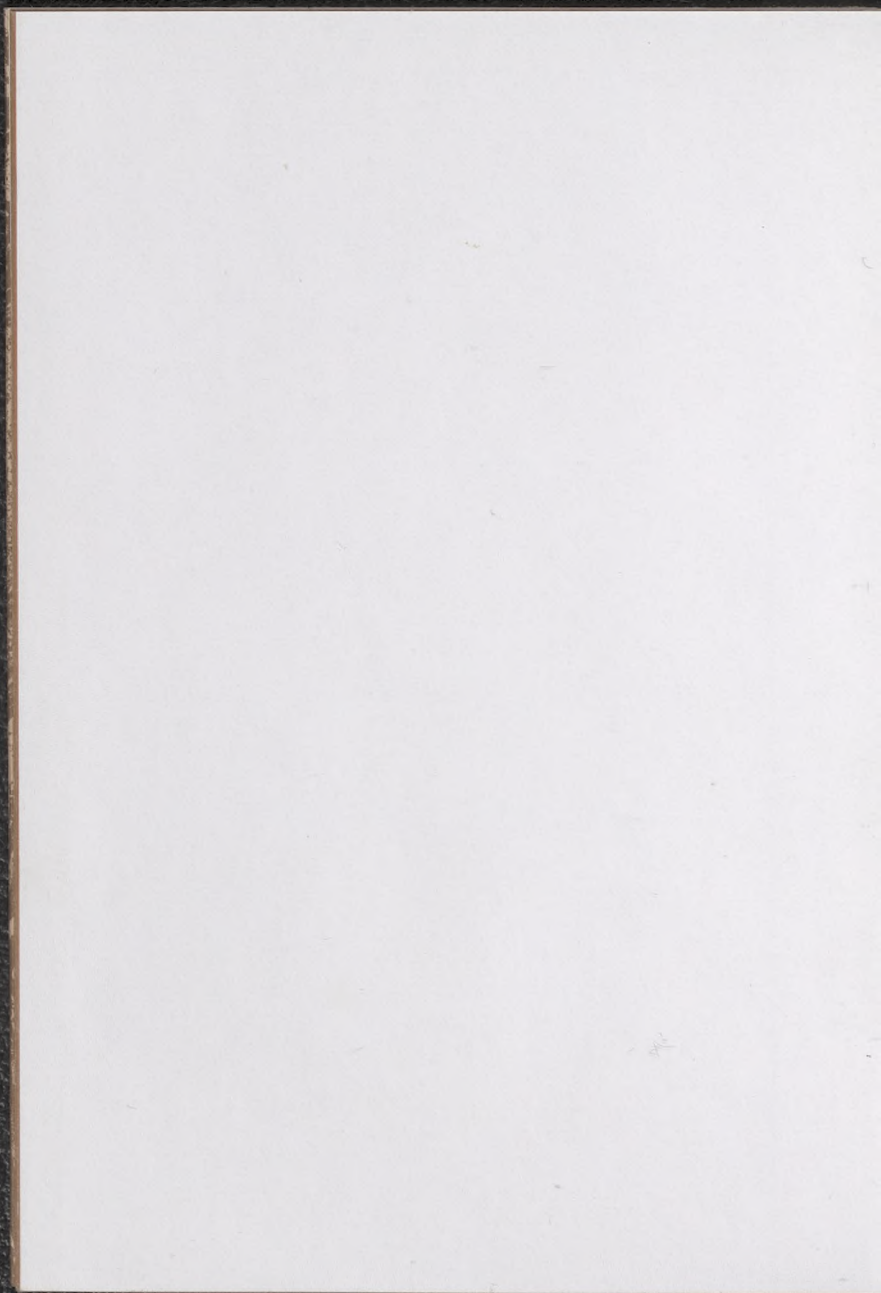
- -  2010



p. 2. Sequitlas
N York, 46 42 34
- 80 000, -









BIBLIOTEKA

NARODOWA

1569389

Mikrofilm